

Somalia, czyli kto naprawdę wstaje z kolan

25 września 2016

24 września to wielki dzień dla Somalijszczyków. Pierwszy raz od 32 lat poszli wrzucić do urn karty wyborcze. Ale spokojnie, nie rozpędzajmy się z optymistycznymi prognozami.

W sierpniu upłynęła czteroletnia kadencja kontraktowego parlamentu somalijskiego, utworzonego na podstawie decyzji Zgromadzenia Konstytucyjnego. 10 września zakończyła się również kadencja wybranego przez parlament prezydenta Hassana Szejka Mohamuda. W rezultacie w kraju w dniu dzisiejszym rozpoczną się pierwsze od 1984 r. wybory. Będą to jednak wybory bardzo osobliwe. Tak osobliwe, że w zasadzie nawet trudno nazwać je wyborami, a raczej pewnym rodzajem procesu politycznego służącego wyłonieniu władz państwa powoli i z trudem wychodzącego ze stanu upadłości.

WYBORY BEZPRZYMIOTNIKOWE

Zawarta przed czterema laty ugoda optymistycznie zakładała, że tymczasowe władze Somalii po zostaną w 2016 r. zastąpione przez nowe, oparte na demokratycznym mandacie, jednak wkrótce okazało się, że nie da się go spełnić. Postulat, aby wobec niemożności zorganizowania wyborów przedłużyć ich kadencje spotkał się jednak ze znacznym oporem tak w samej Somalii, jak i ze strony społeczności międzynarodowej. W rezultacie, choć o dwa miesiące opóźnione. Wybory postanowiono jednak zorganizować, nie będą jednak to jednak wybory powszechne.

Po pierwsze, odbędą się tylko na terenach kontrolowanych przez rząd tymczasowy w Mogadiszu, choć określenie „kontrolowane” nie wydaje się też specjalnie adekwatne, gdyż (wyłączywszy obszary pod władzą islamistycznej organizacji Asz-Szabab i nieuznawanej przez nikogo, ale faktycznie niepodległej Republiki Somalilandu) – poza stolicą i jej najbliższym

otoczeniem reszta kraju pozostaje pod faktyczną kontrolą różnych kontyngentów wchodzących w skład wojsk Unii Afrykańskiej (AMISOM – African Union Mission to Somalia): burundyjskiego, etiopskiego, dżibutyjskiego i ugandyjskiego. W wyborach weźmie udział około 14 tys. Somalijszyków, co zważywszy, że ludność kraju szacuje się na ok. 12 mln, trudno uznać za reprezentatywny odsetek.

Choć takie było pierwotne założenie, głosowanie nie oznaczać też będzie odejścia od tak zwanej Formuły 4.5, według której utworzony był poprzedni parlament. Zgodnie z nią na każdy mandat przypadający na każdy z czterech głównych klanów (za takie uznano klany Darod, Dir, Hawije, Rahanwein, pominięto zaś klan Issak, którego siedziby znajdują się przede wszystkim w północno-zachodniej Somalii, czyli na terenie nieuznającego zwierzchnictwa Mogadyszu Somalilandu) przypadało pół mandatu obsadzanego przez pozostałe grupy mniejszościowe, zaś na kandydaci pochodzili nie z wyboru, ale byli desygnowani przez klanowych przywódców. Kandydaci musieli być zatwierdzeni przez władze wyborcze, które miały ustalić, czy spełniają wymagania, aby zasiadać w parlamencie. Przyjęto też, że 30 proc. Parlamentu stanowić powinny kobiety.

Teraz każdy z klanowych przywódców będzie miał desygnować 51 wyborców (a raczej elektorów), którzy dokonają samego aktu wyborczego. Nie będą to zatem także wybory bezpośrednie ani równe. Pewną różnicę w stosunku do 2012 r. stanowić będzie fakt, że owe „kolegia wyborców” nie spotkają się wyłącznie w Mogadyszu, ale także w kilku innych miastach.

W 2012 r. zaniechano wyłonienia 54-osobowego senatu, teraz jednak izba wyższa somalijskiego parlamentu ma powstać. Zasiadą w nim przedstawiciele nominowani przez stany. Prawdopodobnie nie zasiadą w nim przedstawiciele Somalilandu (choć przysługuje mu 10 miejsc w senacie), gdyż Somaliland nie uważa się za stan, tylko za odrębne państwo, które w maju tego roku obchodziło 25. rocznicę niepodległości.

W rezultacie, metoda wyłaniania parlamentu będzie tak patriarchalna, że nazywanie tego procesu „pierwszymi wyborami od 32 lat” jest zdecydowanie na wyrost. Można ją – oczywiście – krytykować, i to z wielu stron. W takich warunkach, w jakich działa Somalia obecnie, trudno także oczekiwać wiele więcej. Choć obszary kontrolowane przez Asz-Szabab kurczą się, sama organizacja nie została jeszcze pokonana. Nie można też uważać, że stanowi ona jedyny problem Somalii, którego usunięcie otworzy drogę do restytucji państwa. Somalijskie wybory pokazują, jak trudny jest proces wychodzenia państwa ze stanu upadłości. Warto zatem przypomnieć, jak Somalia w nim się znalazła.

DROGA DO UPADŁOŚCI

Kiedy próbuje się zrozumieć, na czym w Somalii „polega problem”, nieodparcie przychodzi na myśl wypowiedź lorda Palmerstona z połowy XIX w. „objaśniająca” sytuację w Niemczech. Jak stwierdził ów słynący z ciętych i dowcipnych słów polityk, na czym ona polega wiedziały tylko trzy osoby: księżę Albert, który już nie żyje, pewien niemiecki profesor, który zwariował i sam Palmerston, który wszakże zapomniał, o co w tym wszystkim chodziło. Podobnie jest z dzisiejszą Somalią.

O kraju tym media zwykle przypominają sobie tylko wtedy, gdy dojdzie do naprawdę dużego zamachu, w którym liczbę ofiar liczy się w setkach. Pomniejsze są z obowiązku odnotowywane przez agencje, ale nie budzi to większego zainteresowania – wiadomo, Somalia to państwo upadłe. Pamiętamy jeszcze tylko „Black Hawk Down” – firmowaną przez skądinąd niezłego reżysera Ridleya Scotta heroiczno-kolonialną strzelankę, w której garstka niosących cywilizację Marines kładła pokotem zastępy opornych na cywilizację morderczych zombie w brudnych t-shirtach. Pod pewnym względem zresztą odzwierciedla to realną historię operacji „Gothic Serpent”, podczas której zginęło 19 amerykańskich żołnierzy (co skrupulatnie zostało policzone) i ponad tysiąc Somalijszyków (co zgrubnie oszacowano). To także

wiadomo – wartość ofiar jest nierówna: jedne się celebruje, inne traktuje się jak towar masowy.

Somalia powstała z połączenia dwu posiadłości kolonialnych – brytyjskiego Somalilandu ze stolicą w Adenie i utworzonego w 1950 r., administrowanego przez Włochy terytorium powierniczego ONZ, czyli dawnego Somali Włoskiego, ze stolicą w Mogadyszu. To, że obie posiadłości mają się połączyć postanowione zostało już wcześniej – na konferencji poczdamskiej w 1945 r. Wcześniej, choć na terytorium dzisiejszej Somalii istniały różne państwa, politycznej jedności całego jego obszaru nigdy nie było. Wręcz przeciwnie: różne ośrodki władzy rywalizowały ze sobą, co dzięki możliwości rozgrywania ich przeciwko sobie, ułatwiło mocarstwom kolonialnym usadowienie się w Somalii praktycznie bez konieczności jej podbijania.

OD IDEI DO DESPOTYZMU

System powiernictwa Narodów Zjednoczonych stanowił swego rodzaju kontynuację okresu kolonialnego, niemniej jednak w przypadku Somali Włoskiego założenie, że powiernictwo ma doprowadzić ten kraj do niepodległości okazało się korzystne. W rezultacie, choć włoska część Somalii uzyskała niepodległość pięć dni później niż brytyjska, była do niej lepiej przygotowana. Okres kolonialny, choć trwał na terytorium somalijskim zaledwie nieco ponad 70 lat, spowodował utratę ciągłości istnienia politycznych instytucji kraju – z dawnych sułtanatów somalijskich w 1960 r. nic nie zostało, a polityczną rzeczywistość od nowa kształtowały zupełnie nowe siły. Z dawnych instytucji siły i tożsamości nie straciły jedynie klany, których kolonialne władze nie starały się wyeliminować z życia politycznego i społecznego. Postkolonialna demokracja – podobnie, jak w większości państw afrykańskich, nie utrzymała się jednak długo. W 1969 r. zastrzelony został przez jednego ze swych ochroniarzy prezydent Abdirashid Ali Shermarke. Chociaż zamach nie miał podłoża politycznego, dzień po pogrzebie zastrzelonego

prezydenta doszło do przewrotu wojskowego, który zainicjował długoletnie, trwające do 1991 r. rządy Mohameda Siada Barre.

Szukając inspiracji dla swoich koncepcji przebudowy państwa, Siad Barre zwrócił się na Wschód – Somalia miała być państwem socjalistycznym w stylu radzieckim, wszakże z elementami islamu jako oficjalnej religii państwowej. Somalia zmieniła wówczas nazwę – stała się Somalijską Republiką Demokratyczną. Znacjonalizowane zostały banki, przemysł i ziemię. Dziś pamiętamy Siada Barre z jego schyłkowego okresu, jako jednego z ponurych satrapów, nie mających złudzeń co do tego, że ich rządy przyniosą jakościową zmianę, a chodzi tylko o to, aby pozostać u władzy. Warto jednak odnotować, że w początkowym okresie jego rządów przeprowadzono wiele skutecznych reform, dzięki państwowej kampanii praktycznie zlikwidowano analfabetyzm, a kierowane przez państwo prace publiczne dały Somalijszykom zatrudnienie i przyczyniły się do rozwoju infrastruktury. Starając się doprowadzić do stworzenia nowej narodowej tożsamości, Siad Barre starał się także złamać pozycję klanów, to jednak udało mu się w niewielkim stopniu, gdyż działania te miały w sobie rys niekonsekwencji – skierowane były przeciwko wszystkim klanom z wyjątkiem tego, do którego należał sam prezydent.

Sojusz ze Związkiem Radzieckim okazał się krótkotrwały, a zakończył go konflikt Somalii z sąsiednią Etiopią o Ogaden w 1976 r. Dla Moskwy Addis Abeba okazała się sojusznikiem ważniejszym niż Mogadyszu i to ją zdecydowała się ostatecznie wesprzeć. Dzięki radzieckiej i kubańskiej pomocy Etiopia odzyskała Ogaden, ale zaczęła również wspierać odśrodkowe ruchy w samej Somalii. Siad Barre zmuszony był szukać protektora gdzie indziej, znajdując go w Waszyngtonie, któremu jakoś nie przeszkadzały jego komunistyczne poglądy. Ważne było, że był skłócony ze Związkiem Radzieckim, dopóki ten istniał. Później somalijski prezydent zostawiony został przez Amerykanów samemu sobie. Jego rządy stawały się coraz bardziej autorytarne i niepopularne, czemu towarzyszyło pogarszanie się

sytuacji ekonomicznej kraju. Ostatecznie wrogie Barremu klany, wspierane przez Etiopię, uważającą, że destabilizacja Somalii jest gwarancją jej bezpieczeństwa, doprowadziły do obalenia go i zaczęła się wojna domowa, która pogrążyła kraj w trwającym do dziś chaosie. W tym czasie też od Somalii oddzielił się, ogłaszając niepodległość, dawny brytyjski Somaliland. Jakkolwiek jest to region relatywnie stabilny politycznie w stosunku do południowej części kraju. Jego niepodległość nie została uznana przez żadne państwo na świecie. Jeśli by szukać, do czego prowadzić mogą długoletnie rządy nieusuwalnego prezydenta, Somalia stanowić może przykład zupełnej katastrofy – nie dość, że po jego usunięciu nikt nie był w stanie przejąć władzy, to jeszcze lokalne czynniki sprawiły, że kraj całkowicie się rozpadł, zaczął się głód i walka na śmierć i życie o coraz trudniejsze do pozyskania zasoby żywności.

OFIARA FUKUYAMY

W tym momencie w Somalii pojawił się czynnik nowy i zupełnie nieoczekiwany – George H. W. Bush. Choć Stany Zjednoczone dotąd nie zdradzały większego zainteresowania Afryką, a nawet ich wsparcie dla Siada Barre miało czysto pragmatyczny charakter, ówczesny prezydent – była to jego osobista inicjatywa, którą wielu przedstawicieli amerykańskiego politycznego establishmentu nieskutecznie mu odradzało – postanowił interweniować. Ponieważ siły ONZ, już wtedy rozłokowane w Somalii, nie mogły opanować sytuacji, prezydent Bush senior zdecydował, że wylądują tam Amerykanie. Dosłownie w ostatnich dniach jego kadencji prezydenckiej, w grudniu 1992 rozpoczęło się lądowanie amerykańskich oddziałów, czyli operacja, której nazwa brzmiała jak ponura ironia – „Restore Hope” („Przywrócić nadzieję”).

Czy chodziło o ideę, w myśl której po rozpadzie bloku wschodniego miał nastąpić wieszczony przez Francisa Fukuyamę „koniec historii” – niepowstrzymany przez nic i nikogo, triumfalny pochód zachodniej kapitalistycznej demokracji przez

cały świat, po czym miało nastąpić spełnienie i dalej już wszyscy żyliby długo i szczęśliwie, czyli innymi słowy, miało nie dziać się nic na tyle ciekawego, żeby warto było o tym opowiadać, czy Stany Zjednoczone zachłysnęły się poczuciem własnej siły jako niekwestionowany hegemon całego świata, czy o to, że według ocen Banku Światowego zasoby złóż ropy naftowej w Somalii (nigdy nie poważnie nie eksploatowanych) miały na całym kontynencie ustępować tylko sudańskim, to rzecz subiektywnej oceny. Obiektywne jest jednak to, że krótkotrwała (operacja „Restore Hope” została zakończona przez administrację Billa Clintona po fiasku rajdu mającego zlikwidować jednego z głównych przywódców klanów wrogo nastawionych do Stanów Zjednoczonych, Mohameda Faraha Aidida, na kanwie którego powstał przywołany wcześniej film „Black Hawk Down”) nie przyczyniła się do niczego, poza utrwaleniem chaosu, a ONZ pozostawiona została z problemem dystrybucji pomocy żywnościowej dla Somalii, bez której prawdopodobnie większość Somalijczyków wyginęłaby z głodu chyba że udałoby się niektórym ocaleć dzięki piractwu na wodach Oceanu Indyjskiego.

Konfiguracje polityczne i alianse między przywódcami klanowymi, warlordami i rządem w Mogadiszu, pod którego kontrolą nierzadko znajdowała się tylko część miasta, zmieniały się. ONZ w końcu też się wycofał, zaś opanowywanie chaosu w Somalii przejęła Unia Afrykańska. Z biegiem czasu, jednak, pojawił się nowy gracz. Rozpad państwa zniweczył najpierw rezultaty tworzenia narodowej tożsamości, którą zastąpił realnie istniejące struktury klanów. Ale oprócz państwa w Somalii była jeszcze jedna siła, najpierw sprzęgnięta z nim, ale przecież niezależna, odwołująca się do szerszej niż państwo tożsamości – religii. Próżnia powstała po zapaści państwa somalijskiego stanowiła – podobnie, jak przedtem Afganistan, czy obecnie Irak i Syria – idealny teren dla rozwinięcia się organizacji przyjmującej ten właśnie wyznacznik.

WOJUJĄCY ISLAM

Najpierw alternatywą dla państwowości somalijskiej miał zamiar stać się Związek Sądów Islamskich – powstała w połowie lat 90 ubiegłego wieku organizacja zrzeszająca czołowych duchownych i uczonych muzułmańskich oraz biznesmenów, którzy zapewnili jej zaplecze finansowe w początkowym okresie. Poczynając od 2006 r. szybko nowy ruch okazał się najsilniejszym graczem, deklasując zupełnie swoich przeciwników – tymczasowe władze w Mogadiszu i posiadających w najlepszym przypadku tylko lokalne zaplecze przywódców – i opanowując niemal całe terytorium kraju poza położonym na północy Puntlandem. Wsparcie CIA w postaci subsydiów dla klanowych przywódców nie na wiele się zdało, a przekształceniu się Somalii w państwo islamskie zapobiegła jedynie inwazja etiopska w lipcu 2006 r., a i to dopiero po kilku miesiącach zaciętych walk. Klęska Sądów Islamskich nie oznaczała jednak dla rządu ostatecznego zwycięstwa, gdyż najbardziej zdeterminowany odłam islamistów – znany jako Asz-Szabab, czyli Młodzież – postanowił kontynuować walkę, a nawet przenosić ją w postaci ataków terrorystycznych na kraje sąsiednie. W odróżnieniu od swojej poprzedniczki, która choć była organizacją islamistyczną, miała charakter praktycznie czysto somalijski, Asz-Szabab zdecydowała się włączyć bardziej zdecydowanie w globalny nurt islamskiego Dżihadu, stając się w 2012 r. lokalną gałęzią Al-Kaidy. Pokonanie Asz-Szabab było zdecydowanie poza zasięgiem możliwości rządu somalijskiego i tylko interwencja sił AMISOM zdołała ograniczyć zasięg jej działania. Mogadiszu zostało wyzwolone z rąk islamistów w całości dopiero w 2011 r., ale ataki na pałac prezydencki ze strony Asz-Szabab zdarzają się do dziś. W tej sytuacji kolejne rządy tymczasowe, mając świadomość, że bez pomocy z zewnątrz, ze strony państw, które równocześnie deklarują pomoc, ale także mają w Somalii swoje interesy, nie ma innego wyjścia, jak zacząć od nowa paktować z klanami, dążąc do stworzenia arbitralnego, ale w miarę stabilnego układu.

Taka jest, w skrócie, geneza obecnych wyborów. Na demokrację Somalia będzie musiała jeszcze poczekać. W optymistycznym scenariuszu demokratyczne wybory miałyby się odbyć po zakończeniu kadencji parlamentu wyłonionego w październiku, czyli w 2020 r., ale – pamiętajmy – cztery lata temu obiecywano sobie to samo.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Źródło: Strajk.eu